

Piotr Zaremba: Jak grać dziś Czechowa? Pokrojony „Płatonow” w Dramatycznym

W „Płatonowie” jest wszystko, co ekscytowało Czechowa. Oblepiająca człowieka prowincja, nuda. Nonsens wymuszonego życia towarzyskiego, wódka, nieszczęśliwe zakochania. Nie wszystko zostało w adaptacji, ale reżyserka lojalnie przestrzegła. Gdybyż pozwoliła aktorom grać nieco spokojniej.

Dedykuję Wojciechowi Tomczykowi

W filmie Woody’ego Allena „Celebrity” jest scena marginalna, ale ogromnie śmieszna. Główny bohater grany przez Kennetha Branagha daje się namówić na nocny trójkącik z rozkapryszonym gwiazdorem (Leonardo di Caprio) i jego towarzyszką uciech. Rano odkrywa, że jest w łóżku hotelowym już tylko z nią.

Na pytanie, czym się zajmuje, dziewczyna odpowiada: „Jestem pisarką. Znasz Czechowa?” Przez chwilę mamy wrażenie, że doszło do jakiegoś cudu. Ale dama dodaje: „Piszę tak jak on”.

Płacząc przy słowach Soni

To odzwierciedlenie renomy, jaką Czechow cieszył się, i chyba wciąż cieszy na Zachodzie, także w Stanach Zjednoczonych, wszędzie. Czasem trochę go fryzują we współczesnych teatrach, uwspółcześniają, przebierają aktorów w dzisiejsze stroje (jak we wszystkim) ale zasadniczo zmienić nie mogą. Przecież wystawia się go dla precyzyjnych wiwisekcji ludzkiej duszy. One pozostają takie same.

Dla mnie to jeden z najważniejszych pisarzy i chyba najważniejszy dramatopisarz. Zwykle jestem rozdwojony. Z jednej strony podziw dla owej precyzji ludzkich portretów, także dla sprawności czysto dramaturgicznej, sławnej strzelby, która zawieszona w pierwszym akcie, niechybnie wystrzeli w trzecim. Z drugiej szczypanie duszy, nieważne, czy aktorzy będą się wczuwać w rolę na modłę Stanisławskiego, czy jak w najnowszej inscenizacji „Wujaszka Wani” Iwana Wyrypajewa w warszawskim Teatrze Polskim, przedstawiać z pewnym dystansem, demonstrując grane postaci niczym jakieś owady.

Można by ciągnąć rozważania, jak świetnie opowiada Czechow o społecznej rzeczywistości swojej ojczyzny unikając zarazem politycznego konkretnego, a często mówiąc między wierszami. Ale na końcu takich wywodów zawsze jest wzruszenie. Z zaskoczeniem przeczytałem niedawno wyznanie Roberta Górskiego, pierwszego kawalarza RP , że płacze przy końcowym monologu Soni z tegoż „Wujaszka Wani”. Mnie też zwykle ciekły przy nim łzy, tylko się wstydziłem to ogłaszać. Ale skoro on...

Zarazem w latach 70. zaintrygował mnie spór rozpętany w Polsce najbardziej przez Adama Hanuszkiewicza. W związku ze swoją własną inscenizacją – o której za chwilę – przypomniawszy twierdzenia samego Czechowa, że jego sztuki trzeba grać żwawo, niczym komedie, a nie rozlewnie i posępnie, zgodnie z dotychczasową tradycją. Wsłuchiwałem się potem podwójnie w teksty. Bywały śmieszne, paradoksalne, czasem zjadliwe, ale czy w sumie składały się na komedie? Mam wrażenie, że w tych zaleceniach kryła się przewrotność zmarłego przedwcześnie pisarza. Przekonanie, że nie pojmujemy inaczej świata niż poprzez jego tragikomiczną naturę.

Z pewnością jednak los Soni i Wujaszka Wani w przywołanym już finale nie jest okazją do śmiechu. Choćby wcześniej ten sam Wania wyglądał śmiesznie ganiając ze strzelbą nadętego profesora Sieriebriakowa, swojego szwagra.

Kim był Płatonow?

Hanuszkiewicz wykladał uzasadnienie swojej inscenizacji „Płatonowa” z Teatru Narodowego. Dodatkowym, ciekawym kontekstem była sama sztuka, młodzieńcza, pierwsza, odkryta dopiero w roku 1923, grubo po śmierci dramaturga, i przez lata nie grana. Nie wiadomo, jak Czechow chciał ją nazwać. „Płatonow” był skojarzeniem najbardziej naturalnym, bo to główny bohater, choć np. Agnieszka Glińska uparła się ją grać jako „Sztukę bez tytułu”.

Okazała się długa, bardziej chaotyczna niż te najsławniejsze, może nawet chwilami męcząca wielomownością swoich bohaterów. A zarazem jest tam wszystko, co ekscytowało Czechowa. Oblepiająca człowieka prowincja, nuda, o której mówi już na samym początku Generałowa Anna Wojnicewa podczas gry w szachy z doktorem Mikołajem Trileckim. Nonsens wymuszonego życia towarzyskiego, wódka, miłosne układy, nieszczęśliwe zakochania. Także niespełnione zapowiedzi wyjazdu, czy deklaracje, że będzie się pracować.

Wszystko to powtarzam po trosze za Janem Gondowiczem, który opisał ten fenomen w programie przedstawienia „Kilka scen z życia” w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Ale poczucie, że „Płatonow” to taki Czechow do kwadratu, prezentujący cały kosmos tego pisarza w pigułce (raczej w pigule!), towarzyszyło mi od dziesięcioleci.

Na pewno od roku 1976, kiedy miały miejsce dwa pamiętne wydarzenia. Z jednej fascynująca telewizyjna premiera „Płatonowa” w reżyserii Bogdana Hussakowskiego, z całym gwiazdociobrem krakowskich scen, niebywale posępne, nastrojowe widowisko, które szokowało nie kojarzącą się z pastelowym Czechowem drastycznością, także erotyczną, choć oczywiście nikt się nie rozbierał. A zarazem był to dramat, w finale nawet tragedia.

Z drugiej strony w tym samym roku Hanuszkiewicz zaoferował w Narodowym swoją propozycję aby grać „Płatonowa” trochę jak wodewil. Z dużą rolą muzyki, z licznymi scenami tanecznymi i z nieustannym błaznowaniem. Była to propozycja równie ciekawa, choć

nie udało się chyba reżyserowi, szukającemu często okazji do rewidowania różnych dzieł, przekonać nas, że oglądaliśmy coś wesołego. Oglądaliśmy najwyżej coś momentami śmiesznego.

Kontrast formy zaowocował różną wymową. Widoczne to było na przykładzie głównego bohatera, z jednej strony prowincjonalnego kontestatora i „Hamleta”, z drugiej lowelasa zwodzącego kobiety. W krakowskim ujęciu Jerzego Treli był to posepny buntownik błądzący po manowcach. W interpretacji Zdzisława Wardejny z Narodowego uderzał przede wszystkim kabotyński ton jego monologów. Jego Płatonow, trochę w zgodzie z tekstem, a trochę przeciw niemu, był królem błaznów w krainie błaznów.

Od Glińskiej do Gryszkówny

Chyba nie ma większego komplementu dla pisarza niż możliwość budowania ma jego kanwie tak różnych interpretacji jego dzieła. Z ofert nowszych: w roku 2010 Agnieszka Glińska wystawiła „Sztukę bez tytułu” w warszawskim teatrze Współczesnym.

Glińska jest wierna swoim fascynacjom Czechowem. Często wraca do tych samych sztuk. Zwykle szpikuje je wstawkami, ja je nazywam „pocztówkami ze współczesności” – w jej telewizyjnych „Trzech siostrach” w szafie mieszkania Prozorowów mieścił się ekran, a na nim oglądaliśmy sentymentalne widoczki jako komentarz do stanu duszy bohaterów. Ale zasadniczo Glińska częściej idzie za tekstem niż nie. Jej inscenizacje są wciąż literackie.

Jej „Płatonow”, grany był chwilami w zawrotnie komediowym tempie, a jednocześnie bardzo długi. Bo żal było Glińskiej rozstawać się z bardzo wieloma nawet ubocznymi wątkami czy postaciami. Zaczynała cokolwiek dziwnie, każąc postaciom siedzącym na krzesłach konwersować twarzami do publiki. Z jednej strony miało to zdaje się imitować ich wzajemną obcość. Z drugiej, galeria Czechowowskich typów jak gdyby przedstawiała się nam, widzom. Aktorzy demonstrowali postaci, na pewno nie w stylu Stanisławskiego. Było to wszystko... hmm, nawet ciekawe.

A potem było dużo bardziej klasycznie. Równowaga między niewesołą wesołością, a dołującą depresją scen końcowych została zachowana. To w sumie dobre, żywe, coś opowiadające przedstawienie. Pamięta się role: Borysa Szycy (Płatonow), Wojciecha Żołądkowicza (doktor Mikołaj), Moniki Krzywkowskiej (Generałowa), fenomenalnej Dominiki Kluźniak (żona Płatonowa Sasza) czy Katarzyny Dąbrowskiej (Sonia).

I oto Anna Gryszkówna, aktorka Teatru Narodowego, wcale nie obiecała nam powtórzenia tamtych doznań. Powtórzę, wystawiła na scenie Na Woli Teatru Dramatycznego „Kilka scen z życia”, nie „Płatonowa”. Lojalnie uprzedziła, że to przedstawienie „na motywach”

Niedawno w tym samym Dramatycznym pokazała „Mężczyznę” Gabrieli Zapolskiej. Tam nie zawahała się czyścić tekstu z bardziej staroświeckich wyrażen, zmieniła też zakończenie. Ale sztuka zachowała pod jej ręką ducha Zapolskiej, nawet jeśli nie zawsze jej literę. I była manifestem mniej nawet feministycznym, a bardziej antymęskim. To egoizm tytułowego bohatera zsyłał nieszczęścia na

postaci kobiece. Więcej, to on stawał się powodem braku ładu, bo unieważniał takie wartości jak lojalność i wierność. Oryginalne ujęcie, wydało mi się ciekawe. A przy tym inteligentnie, nowoczesnie, ale też spokojnie zagrane przez czwórkę aktorów.

O kobietach i mężczyznach współczesnych?

Z „Płatonowa” Gryszkówna powyrzucała całą masę postaci i wątków, redukując do minimum rodzajowość, tło rosyjskiej prowincji końca XIX wieku. Nie ma sąsiada Głagoliewa, żydowskiego kupca Wengierowicza i opryszka Osipa. Nie ma salonu zadłużonej dziedziczki, długów, sadzenia się, podjazdowych wojen i szwindli.

I nawet jeśli reżyserka zrobiła to nie całkiem konsekwentnie (pojawiają się choćby rosyjskie śpiewy), to przecież pozbawiła dzieje powiatowego amanta społecznego kontekstu. Wiejski nauczyciel o szlacheckich korzeniach Płatonow staje się w pełni zrozumiały jako szamoczący się człowiek dopiero na tle biesiadującej w dworze Generałowej kompanii. Pojąłem to przypominając sobie przy tej okazji inscenizację Glińskiej.

Gryszkównę interesują głównie „nagie” relacje męsko-damskie, może jeszcze trochę towarzyszący im klimat życiowego niespełnienia. Przy siedmiu postaciach, z których jedna to główny bohater, a cztery – zafascynowane nim kobiety, ta historia zostaje jednak mocno spłaszczona. Chociaż wciąż całkiem długa.

Dylemat: grać bardziej komediowo czy melancholijnie, przestał być zasadniczy. Pierwszy akt to komedia, równie mało zabawna, jak kawały doktora Trileckiego, szwagra Płatonowa, co nie jest zarzutem. To coś jak czyjś wykrzywiony grymas. W drugim – jednak bardziej dramat.

Tyle że Gryszkówna przesunęła, w zasadzie inaczej niż w „Mężczyźni”, akcję w czasie. To znaczy ta opowieść jest trochę poza czasem, każda z postaci inaczej się ubiera, ale przeważają sygnały na wskroś współczesne, taka jest momentami muzyka Andrzeja Perkmana, taki jest styl bycia bohaterów i stan obyczajów. Rzecz cała zaczyna się od sceny łóżkowej. W tej wersji Generałowa jest po prostu kochanką doktora Mikołaja, czego w tekście naturalnie nie ma, ale co wprowadza nas w świat braku zasad i rozchwiania norm z początku wieku XXI.

To ma być Czechow na naszą miarę. Choć z drugiej strony scenografia Anety Suskiewicz, skądinąd niezła, spokojnie mogłaby ilustrować Czechowa na poły przynajmniej „klasycznego”.

Z tym kontrastują oczywiście dialogi. Nawet czyszczone z wielu odniesień do dawnej obyczajowości zachowują dawne paradoksy. Postaci są ze sobą na pan, pani, akty towarzyskiej brutalności zderzają się z resztkami savoir vivre’u, pod koniec klimat „dawnych czasów” trochę zresztą powraca. Ostatnim, można by rzec melodramatycznym scenom, towarzyszy rosyjski walc.

Pisałem, że Czechow jest mało podatny na inscenizacyjne przeróbki, dekonstrukcje, dopiski. Coś z nim robić jak widać jednak można, jak z operami, gdzie przebiera się śpiewaków we współczesne kostiumy. I można się zastanawiać, czemu to częściowe uwspółcześnienie, a częściowe wymieszanie znoszących się realiów, ma służyć.

Czy zbudowaniu pomostu między dawnymi i nowymi czasami? Gryzskówna tak jak w „Mężczyźni” jest wyraźnie przejęta problemem niewierności, braku życiowej konsekwencji, granic krzywdzenia człowieka przez innego człowieka. Pewne fragmenty pociętego „Płatonowa” nadają się do przeżywania tego lepiej (wątek zdradzanej żony Płatonowa, frustracje Generałowej), inne już gorzej. Skądinąd Czechow nie staje konsekwentnie po stronie kobiet, choć niejedno ma do zarzucenia kabotyńskim facetom.

Dobrzy aktorzy i krzyk

Może jednak większą wadą inscenizacji niż tajemnica niejasnej „wymowy” (godzę się byśmy sami musieli ją zgadywać) pozostaje dla mnie maniera grania prawie wszystkiego „na krzyku”, tak typowa dla obecnego teatru. Nawet zakładając, że u Wojnicewej goszczą ludzie współcześni, niekoniecznie wrzask najlepiej służy ich zrozumieniu. Domyślam się, że mamy poczuć klimat wymuszonej wesołości, charakterystyczny dla naszej współczesnej cywilizacji. Trochę go tu jednak za dużo. Chwilami zamazuje rozmaite smaki i sensy.

Dam może najważniejszy dla mnie przykład. Ucieszyłem się, że Generałową gra Agata Wątróbska, jedna z moich ulubionych aktorek, tak wyrazista, i tak mądrze obecna w „Mężczyźni”. Jednak w pierwszym akcie „Kilku scen z życia” za dużo w jej postaci dla mnie nadekspresji, hysterii, przerysowania. To jednak nie cecha jej aktorstwa, a koncepcja reżyserska. Nawet dzisiejsza Wojnicewa może mieć większą klasę.

To się zmienia w akcie drugim, kiedy Wątróbska podczas spotkania z Płatonowem staje się głęboko ludzką, poniżoną, skazaną na bolesne zwierzenia kobietą. Byłem pełen podziwu dla niej, a już najbardziej w końcowych minutach spektaklu. Stoi do widzów tyłem, i może w jej lekkim przygarbieniu najwięcej jest prawdy o tej postaci. I to się nazywa mistrzostwo. Ale można było bardziej jej kunsztowi aktorskiemu pomóc.

To dotyczy w zasadzie wszystkich postaci. W tej inscenizacji nie ma starszych bohaterów. Wszystko dzieje się między młodymi. Byłem pełen podziwu dla Otara Saralidze w „Pociągach pod specjalnym nadzorem” sprzed dwóch lat, kiedy grał młodziutkiego kolejarza Pipkę. Tu ma dobre, prawdziwe momenty. Ale chyba nie udało mu się narysować pełnej, fascynującej postaci, a taką powinien być Płatonow.

Dotyczy to zwłaszcza trochę pustego, przekrzywanego aktu pierwszego (poza jedną, dwiema scenami: podobało mi się pijaństwo trójki przyjaciół). W akcie drugim, rozgrywanym „w śniegu”, powolniejszym, melancholijnym pomimo ekspresyjnej mowy ciał, wszystko staje się

prawdziwsze, czulsze, bardziej ludzkie. Także główny bohater. Saralidze ma głos trochę podobny do Borysa Szyca i zadatki na jego talent. Ale musi zaczekać na kolejną okazję.

Tak zwane dobre momenty mają i Agata Różycka jako Sasza, i Agata Góral jako Maria Grekow (ona naprawdę jest w tekście histeryczna), i Sebastian Skoczeń jako Sergiusz, zdradzony mąż Soni. Doznałem jednak wrażenia, że są zbyt przytłoczeni wymogiem zgiełkliwego grania.

A Marcin Stępniaak jako doktor Mikołaj, urokliwy pajac zmieniający się w przerażonego człowieka? Młody aktor, który zdążył już dać się zauważyć (Marat w „Marat-Sade” w Akademii Teatralnej, Jasiek w telewizyjnym „Weselu”) chwilami bardziej przykuwa uwagę niż Płatonow. Ale będę się upierał, że i on mógł zostać zainspirowany do grania postaci bardziej jeszcze skomplikowanej niż ta, którą zabarwił osobistym urokiem. Podołałby z pewnością.

Oddzielny problem stanowi dla mnie Sonia Martyny Kowalik. Na początku urocza i elegancka, w akcie drugim przemawia samymi fałszywymi tonami. Czy reżyserka każe jej w swoisty sposób pod wpływem uczucia oszaleć, zachowywać się skrajnie niedorzecznie? Czy tak jej po prostu nie lubi jako osoby prężnej po trupach do jednego celu: mieć Płatonowa. Nie wiem, to mnie nawet zaciekało.

Tak zresztą jak cała inscenizacja. Nie obrażam się na nią. Rad bym poznać argumenty reżyserki, która dała mi okazję do zastanowienia się nad tekstem tak zdawałoby się mi znanym, tak często ćwiczonym.

Myślę, że dylemat jak grać Czechowa trochę zniknął, m.in. dzięki Agnieszce Glińskiej, choć nadal można grać go na różne sposoby. Nie oponuję dla zasady przeciw wybieraniu z niego tego, co najważniejsze dla inscenizatora. Ale jest to operacja zdradliwa, Glińska wybrała lepiej próbując zachować jak najwięcej.

Operację przenoszenia Czechowa w czasie niby rozumiem. Kryje się za tym docenienie jego uniwersalności. Ale trochę mi się autor gubił w manierze współczesnego krzyku. Myślę zarazem, że tak jak Otar Saralidze, także i Anna Gryzkówna może nas jeszcze niejednym zaskoczyć. Bo poszukuje.

I czekam na kolejnego Czechowa na polskiej scenie. Mam dziwne przeczucie, że będzie on nam towarzyszył do końca świata.